

# Wieczory Rodzinne

№ 25

DZIAŁ DLA DZIECI

20 Czerwca 1914 roku.



Amerykańskie drzewo kuczukowe.

## K A U C Z U K.

W podzwrotnikowych lasach Ameryki, Azji i Afryki rośnie kauczuk, którego nazwa pochodzi od indyjskiej nazwy *ka h u s z u*.

Drzewo to, niezmiernie pożyteczne, należy do rodziny wilczo-mleczowatych, toinowatych i pokrzywowatych.

Otrzymujemy z niego gumę elastyczną, czyli właściwy kauczuk, tak dziś niezbędny w życiu przemysłowym. Ażeby wydostać z rośliny ten jej wytwór, nacina się ją w kilku różnych miejscach. Z otworów wylewa się ciecz i zbiera się w podstawione wcześniej naczynia gliniane, w których krzepnie, przybierając ich formę. Jestto gęsty płyn barwy przeważnie brunatnej, chociaż oczyszczony przybiera kolor biały.

Kauczuk oddaje wielkie usługi całej współczesnej kulturze, bo dzięki swoim własnościom używany bywa w wielu gałęziach produkcji.

Pokrywa się nim druty telegraficzne, ponieważ jest dobrym izolatorem (nieprzewodzi prądu elektrycznego) przy budowie okrętów często się nim posiłkują.

Robią z niego obuwie, przyrządy chirurgiczne i chemiczne, tkaniny nieprzemakalne, tkaninki sprężyste (bardzo cienkie nitki.)

Jak mówiliśmy wyżej kauczuk w chwili wydzielania się jest cieczą o znacznej lepkości. Wpływy powietrza i temperatury oddziałują nań w wysokim stopniu. Przy niskiej temperaturze zmienia elektryczność na kruchość, a przy ogrzaniu staje znowu płynnym, ale dopiero pod wpływem 200 stopni wyżej zera Celsjusza. Zapala się niesłychanie łatwo.

Jakie są jeszcze jego własności?

Przy zetknięciu z ogniem łatwo zapala się. Woda i alkohol nie rozpuszczają go w sobie, w przeciwieństwie do eteru w którym doskonale się roztwarza.

Przyrządza się też ze zwyczajnego kauczuku kauczuk stwardniały, otrzymany po mechanicznem zmieszaniu z kwia-

tem siarczanym i poddaniu tej mieszaniny działaniu pary wodnej w przeciągu od 8 do 10 godzin.

Taki kauczuk zwie się wówczas wulkanistem albo parkezyem.

d. . n.

## O pięciu braciach.

(Baśń islandzka).

c. d.

„Jeszcze czego? krzyknie wiedźma  
 → Co wam malcy do łez moich?  
 Płaczę bo mi się podoba  
 Krzyczę, bo tu państwo moje.“  
 Bracia w prośbach nie ustają  
 Służby swoje ofiarują  
 Wiedźma rada, czy nie rada  
 O przygodzie nocnej mówi:  
 Jako luby jej małżonek  
 W noc świąteczną, jak co roku  
 Po królewską poszedł córę  
 I co mu się przytrafiło,

Taki wstyd i ból i hańba  
 Taka krzywda od złych ludzi;  
 Teraz jęczy i zawodzi,  
 Życiem to przypłacić musi.  
 „Moja pani—rzekną bracia  
 Chętnie męża uleczymy  
 Sztukę taką posiadamy,  
 Lecz warunek ci podamy;  
 Wpuść nas, proszę, wszystkich pięciu  
 Lecz bez świadków; więc się pozwól  
 Związać na czas bardzo krótki  
 Tym sznureczkiem, ot, jedwabnym.

(d. c. n.

## Guzdralska.

Dzień był słotny, dżysty, przesiąknięty wilgocią. Woda ciurkiem sączyła się z rynien, spływała ze szmerem z pochyłości, tworząc kałuże pełne błota. Posmutniały kwiaty, opuściły obmokłe liście krzewy, nawet kanarek w klatce u okna siedział nasępiony, patrząc jednym oczkiem na krople deszczowe przybywające wciąż na szybach.

— O, jak mi się spać chce,—ziewnęła szeroko Julcia siadając na łóżku.—Pogoda szkaradna nie mam poco się śpieszyć ze wstawaniem.

— Julciu, wstawaj nareszcie, późno już i śniadanie zupełnie ci wystygnie,—zawołała wtem starsza siostrzyczka Kazia, zajęta w drugim pokoju szyciem.

— Doprawdy?—zadziwiła się Julcia,—nie myślałam wcale, że już jest późno, zaraz wstanę.—Mówiąc to wysunęła z pod kołdry jedną nogę, wzięła pończochę do ręki i zadumała się.

— Ciekawam czy dzisiaj deszcz będzie padał bez przerwy, miała nas przecie odwiedzić Stasia, a może i Bronia o ile zechce wyjść na taką nie pogodę.

Pi! pi! pi! zaświergotał kanarek, kręcąc główką, jakby w podziwie nad leniwą dziewczynką.

— Nie wydziwiał tylko,—machnęła na niego Julcia i okryła się kołdrą.

— Julciu wstałaś? — zapytała znów Kazia, zaglądając przez drzwi.

— Nie przeszkadzaj mi,—odrzekła Julcia wysuwając się z pod kołdry,—pończoszka mi się rozdarła, muszę naprawić.

Zanim wyszukała nici, igłę i nożyczki sporo czasu upłynęło. Przez uchylone drzwi wbiegł w podskokach piesek zwinny Filut i zatrzymał się przed Julcią przyglądając się bacznie jej czynności.

— Odejdź,—ofuknęła go mała guzdralaska, a posłuszne zwierzę natychmiast ją usłuchało.

— Teraz mi chłodno, trzeba się ogrzać pod kołdrą,—szepnęła Julcia,—potem wstanę.

— Julciu co robisz?—zagadnęła raz jeszcze Kazia—mamusia się gniewa, że ciebie nie widać.

— Za chwilę—odrzekła guzdralaska.

Tymczasem w przedpokoju zadźwięczał silnie pociągnięty dzwonek i dwie milutkie, wesołe panienki weszły witając się serdecznie z Kazią.

— Przyszłyśmy was zaprosić na obiad, zjechali do nas właśnie kuzynkowie i kuzynki, zabawimy się wybornie, będziemy grali w gry i tańczyli, a gdzież to Julcia?

A tymczasem Julcia czyli panna guzdralaska ze wstydu nie śmiała oczu podnieść i radabyłaby ukryć się w mysią jamę.

— Poszukamy ją,—wołały panienki wchodząc do pokoju gdzie w łóżku leżała jeszcze Julcia udając, że śpi.

— Patrzcie, ona leży, biedaczka zapewne chora, nie trzeba jej budzić,—rzekły.

— Nie, nie,—odezwała się Julcia, nie mogąc powstrzymać przykrości,—tylko nie zdążyłam dotąd wstać.

— To być nie może,—zaprzeczyły żywo obie panienki,—nie tłumacz się i nie wstydź, żeś przez nieostrożność nabyła jakiegoś niezdrovia, współczujemy ci, lecz trudno, Kazia będzie musiała cię wyręczyć i pójdzie z nami się zabawić.

Julcia łykała łzy w milczeniu, było jej niezmiernie przykro, że wada guzdralstwa pozbawiała ją uciechy zabawienia się w gronie koleżanek, lecz z dgwojga złego wołała, aby sądzili, że jest chorą niż guzdralską, dla tego nie odezwała się już ani słówkiem.

Kazia z rozradowaną minką poszła ze Stasią i Bronią, a Julcia nie mogąc dłużej powstrzymać łez wybuchła głośnym płaczem. Usłyszała to mama i pojawiła się w pokoju aby sprawdzić przyczynę żalu Julci, gdy się jednak przekonała, że córeczka zupełnie jest zdrową tylko jedynie marudztwo jest głównym powodem całego wydarzenia, powiedziała surowo:

— Nie skutkowały widocznie napomnienia oddawna ci dawane, byś się wreszcie pozbyła swego guzdralstwa, sądzę, że obecnie ten radykalny środek cię uleczy. Za karę cały dzień pozostaniesz w łóżku, dopiero jutro wolno będzie ci wstać, wstyd byłby zbyt wielki przed domownikami gdyby się dowiedzieli dlaczego pozostajesz w łóżku będąc zdrową.

Julcia uznała sprawiedliwem co mówiła mama i w duchu postanowiła szczerze z wady guzdralstwa się poprawić. Wieczorem wróciła z przyjemnej gościny rozweselona Kazia, nie mogąc skończyć opowiadań o grach i tańcach w jakich uczestniczyła. Julcia stanowczym głosem powiedziała na to:

— Odtąd zawsze razem ze sobą chodzić będziemy, bo nie będę więcej guzdralską.

Kazia roześmiała się i uścisnęła Julcię wierząc, że słowa dotrzyma co też się i stało.

*Marja Romualda*

## Gniazdko w lesie.

Patrząc na te ptaszyny, przypomniałem sobie własnych moich rodziców, ileż od nich otrzymałem dowodów miłości i dobroci, jak dbali nietylko o zewnętrzne potrzeby moje, ale o wykształcenie umysłu, serca, wszczepienie cnót, miłości dla Stwórcy, dla bliźnich, poczucia obowiązków, a choć dawno już nie ma ich na świecie, jednak z głęboką wdzięcznością, szepcze modlitwę za ich dusze....

Opodal tej wierzby, na wysokopiennej sośnie, w dziupli, którą też widzieć mogłem, ukazywała się wiewiórka. Najpierw duża, a potem 3 małe, widocznie jej córeczki.

Co też to była za wesoła rodzina!

Ileż to wtedy było zręcznych skoków, figlów, gonitwy lub niespodzianek kiedy jedna schowała się na sąsiednie drzewo, dwie drugie ją szukały.

Figlarne oczki, w nieustannym były ruchu, puszyste ogonki, jak chorągiewki powiewały, a zręczne nóżki, przebiegały gałęzie i pnie drzewa z niezwykłą szybkością. Zdawało mi się czasem, że słyszę, jakby wesoły śmiech bawiących się dzieci.

Pewnego dnia, wiewiórka jedna, z tej wesołej trójki, przegając z sosny na świerk, a stamtąd na wierzbę, spostrzegła gniazdko i łebki już żółte wyzierające z niego na zewnątrz.

Zatrzymała się, podniosła nóżkę i przyglądać się zaczęła ciekawie niewidzialnym dotąd ptaszkom.

Właśnie samiczka nadleciała z muszką w dziobku, ale ujrawszy żółte zwierzątko, tak pilnie zaglądające do gniazka, zdumiała, i pełna lęku upuściwszy muszkę, poczęła z piskiem podobnym do jęku, okrążyć gniazdko.

Biedna matka! drżała o swe dzieci ukochane.

Wiewiórka napatrzywszy się do syta pisklętom, cicho cofnęła się i do dziupli wróciła.

Naturalnie zaraz zawiadmiła swoje siostry, o odkryciu sąsiadów. Wszystkie trzy wiewiórki wybiegły, a poczekawszy na odlot rodziców piskląt, obskoczyły gniazdko naokół.

Można sobie wystawić przerażenie biednych małych ptaszków, kiedy sześcioro ocząt czarnych jak perełki wpatrzyło się w nie.

Powstał gwałt, świergot w gniazdku, pisklęta chowały się jedne pod drugie, chciałyby były uciec, ale skrzydełka jeszcze nie miały siły je unieść.

Wiewiórki jednak, nic im złego nie zrobiły. Napatrzywszy się do woli, szybko po drzewie uciekły do matki. Tu rozpoczęło się opowiadanie o gniazdku i małych bezradnych stworzonkach, które ledwie się ruszać mogły i takie piskliwe miały głosiki. Matka wiewiórka, tłumaczyła, że to są małe zaledwie z jajeczek wylęgłe ptaszyny, potrzebujące wielkiej opieki, zanim im skrzydełka odrosną, i też nauczą się fruwać; przez szczelinę w drzewie, ukazała im parę radziców, którzy troskliwie karmili swoje dzieci, otulając je własnymi skrzydełkami.

Wiewiórka matka powstrzymywała też swoje trzy córeczki aby nie przeszkadzały ptaszkom w przyjmowaniu pożywienia i nie podchodziły za blisko gniazda, poczem, zaznajomią się z sąsiadami.

Tak też się stało. Matka wiewiórka po paru tygodniach, zbliżyła się do gniazdku i objawiła widać chęć poznania się z ptakami rodzicami. Wkrótce znajomość została zrobiona i wiewiórki młode, z radością przyglądały się próbom młodziutkich piskląt, które podobnie upierzone jak rodzice, próbowały siły wyrosłych skrzydeł. Wprawdzie z początku fruwały niezgrabnie, i co chwila opadały na gałązki sterczące około

gniazdka, ale prędko nabrały wprawy i już umiały zataczać dalsze koła.

Wtedy wiewiórki przebiegały po drzewach, jakby na wyścigi z ptaszkami, ale ich przegonić nie mogły, gdyż skrzydlate sasiadki, fruwały od nich szybciej i tak się oswoiły iż już się wcale nie obawiały, siadając bliżutko.

Niejednokrotnie wiewiórki, zbierając orzechy na zimowe zapasy, gryzły je i kładły na gałęziach, a ptaki je dziobały nie tylko młode, ale nawet i rodzice dopomali im w tej biesiadzie.

Lecz szybko zbliżała się po lecie jesień. Już wieczorne chłody i zimne ranki dokuczać zaczęły,—jako zapowiedź niedalekiej zimy.

Z za mórz szło hasło odlotu ptaszków i rodzina remizów zbierać się zaczęła, aby opuścić gniazdko i las. Zrozumiały wiewiórki, że wkrótce utracą miłe sąsiedztwo.

Nadszedł dzień rozstania.

— Bywajcie zdrowe kochane wiewiórki, zdawały się mówić ptaszki, podlatując nieustannie do otworu w drzewie, a matka wiewiórek, naznosiła na gałązki po trochu miodu, orzechów i ziarna.

Była to pożegnalna uczta.

— Zostańcie szczęśliwie, — szczebiotały ptaszęta — a oby wam tu się dobrze wiodło i zima przeszła w zdrowiu!

Gromadka ptaków, złożona z rodziców i czworga młodych, raz jeszcze spojrzała na rodzinne gniazdko, podfrunęła ku niebu, ku słońcu, rozpoczynając daleką podróż do cieplejszych krain. Wiewiórki pozostały w lesie, a pomimo że śnieg obielei drzewa, usrebrzy zawsze zielone świerki, one w głębi swej norki drzewnej, żyć będą, czekając wiosny i powrotu miłych sąsiadów—rodziny remizów.